Klamki mojego domu



Romuald Mieczkowski

Kiedy zabrakło rodzinnego domu, przez kilka lat dzieciństwo przypominały drzewa z ojcowskiego sadu. Kiedy i ich zabrakło, wywieziono ciężarówkami wiele ziemi, znikło wzgórze, pamiętające ślady naszych stóp – znikły i ostatnie – prawda, coraz bardziej gorzkie – punkty odniesienia, w jakimś stopniu

namacalne do obecności mojej rodziny w Fabianiszkach. Przerwana została ciągłość, o którą tak dbali przodkowie w ciągu wieków, powiększając swe posiadłości ziemskie, uszlachetniając je w drzewa owocowe, w przydrożne aleje lip, zasadzając dęby. Mój udział był niewielki, ale dość wyjątkowy – jodła, którą zasadziłem, przetrwała pozostałe drzewa i padła jako ostatnia.

Wileńszczyźnie nie pozwoliła historia pomnażać rodzinne dobra, pielęgnować pamięć. Rzadko w jakim, nawet zamożniejszym domu, spotkasz portret przodka. Pamięć o dziadach i pradziadach wyręczają w sposób niekompletny czasem stare, pożółkłe fotografie w kredensie, ze starych rzeczy – pamiątek niewiele. Myślę i ja – co mi pozostało po Mieczkowskich, Piotrowskich – od strony matki, nie wnikając głębiej w rodzinne odgałęzienia. Też niewiele – resztki zastawy sprzed wojny – parę talerzy, kilka sztućców srebrnych, trochę szkła, zegar, jakieś drobiazgi. Najstarszy wśród nich – złoty medalik z wizerunkiem Madonny z Dzieciątkiem i napisem: *Mon Dieu le protège us toujurs. 1833 Aug. 24,* który według rodzinnej legendy przekazał ktoś z Francji w burzliwych latach popowstaniowych.

Dotykam jednak każdego dnia lat minionych dotykiem bezpośrednim. Robią to też moje dzieci, nie zdając sobie z tego sprawy. Dzięki klamkom, które w czasie zagłady domu udało się wymontować. Rolę flagowej, strategicznej klamki, strzegącej drzwi od ulicy, pełni lekko zaokrąglony kowalski wyrób z żelaza,

surowy w formie, wykwintny w swej lakoniczności. Następne drzwi, mniej masywne, bardziej dekoracyjne, przypominają drzwi z dzieciństwa od frontonu – tu najpiękniejsza, mosiężna klamka, bogata w linie i ornamenty – elegancja z czasów eklektyzmu. Kolejne drzwi mają klamki podobne, jakie były najbardziej popularne w tych stronach – solidne mosiężne, o prostych formach, bez jakichkolwiek upiększeń, zachwycające swą wyniosłą prostotą. Siedem obustronnych klamek podobnych do siebie, ale każdy komplet inny, ze względu na ręczną robotę. Niektóre są lekko zaokrąglone, wszystkie znakomicie przetrwały czasy kolejnych państwowości. Klamki niczym czarodziejska maszyna sprawiają, żeś dotknął lat dwudziestych.

Przyznam, że aż tyle klamek o takiej sprawności w domu Mieczkowskich nie było. Część z nich pamięta losy innych krewnych w Fabianiszkach. Jedną z klamek, którą uznać by można za "księżniczkę" wśród pozostałych, a pochodzą z drzwi, prowadzących do salonu, nie udało się zastosować – potrzebowałaby ona masywnych, większych drzwi i mocnych sprężyn.

Tak oto, inna epoka została wpleciona do dzisiejszej codzienności. Klamki zachowują właściwą sobie dyskrecję, mają dla mnie ciepło dłoni przyjaciela, w słońcu potrafią ukazać swój urok w całej pełni, jaki zapamiętałem jako dziecko, usiłując złapać złote promienie, które tańczyły wokół nich.

Słowa
ze skradzionych chwil



Florian Śmieja z żoną Zofią, córką Anią i wnukiem w domu w Mississaudze w Kanadzie, fot. arch. Z. i F. Śmiejów.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Był Pan przez wiele lat związany ze stolicą Wielkiej Brytanii i mocno osadzony w powojennym środowisku literackim tego miasta. Wielokrotnie pisał Pan o barwnej atmosferze artystycznej powojennego Londynu. Gdzie należałoby szukać przyczyny, tej ogromnej fali twórczości i wybitnych talentów w tym czasie?

Florian Śmieja:

Po zakończeniu działań wojennych, byli żołnierze mieli bardzo dużo zapału i energii, stąd ten dynamiczny rozwój idealizmu. Londyńska emigracja była pokaźna, ok. 100 tys. Polaków i wśród niej było bardzo wielu utalentowanych ludzi, wychowanych przez drugą Rzeczpospolitą, dla których często nie było powrotu do kraju. Co któryś młody człowiek w plecaku nosił pióro lub pędzel i jak nie pisał, to malował. Do Anglików trudno było przylgnąć, bo Anglia była wówczas krajem zamkniętym, z własną tradycją, robiącym trudności w asymilacji. Stąd duża potrzeba życia we własnej społeczności, spotykania się, działania i to zwykle honorowo. Wychodziły sukcesywnie czasopisma, przy niewielkich nakładach finansowych. Profesorowie wykładali za darmo i płacili za przejazd na wykłady z własnej kieszeni. Dlatego, mimo braku pieniędzy i możliwości zawodowych, ówczesna londyńska Polonia miała tyle osiągnięć. Ludzie pisali wspomnienia, pamiętniki, wiersze. Twórczość ich była terapią nie tylko dla piszących. Kultura dawała pewne możliwości upustu i stąd tyle

najrozmaitszych dowodów aktywności intelektualnej, artystycznej, z której będziemy ciągle czerpać.

JSG: Takim przejawem aktywności kulturalnej z tamtego czasu, była grupa „Kontynenty", której jest Pan jednym z założycieli i pierwszym redaktorem pisma.

FŚ: Po trzyletnich studiach w Irlandii w roku 1950 przyjechałem do Londynu do pracy u dr Jerzego Pietrkiewicza. Natychmiast też wszedłem w kontakt z absolwentami i studentami usiłującymi stworzyć pismo młodych, które zaczęło się od kolumny w tygodniku, a potem miesięczniku „Życie". W 1951 roku zostałem redaktorem „Życia Akademickiego" (miesięcznego dodatku do tygodnika katolickiego „Życie"). Drukowaliśmy wtedy cztery strony, ale po jakimś czasie oddzieliliśmy się. Potem doszliśmy do wniosku, że dawanie komunikatów i pisanie o studentach nas nie zadawala. Wtedy „Życie Akademickie" przerodziło się w pismo „Merkuriusz Polski" i tam pojawiało się więcej ambitnych tekstów, felietonów, esejów, satyr. Po jakimś czasie doszło do scysji z wydawcą, władzami Zrzeszenia Absolwentów i Studentów, gdyż młodzi ludzie zaczęli zabierać głos w sprawach stanowiska politycznego wobec Polski. Mówiono, że młodzi się wyłamują, że chcą nawiązać kontakty z komunistyczną Polską, że nie stoją na straży wartości. Przyszedł taki moment, że materiały, które ukazywały się w „Merkuriuszu" po Październiku, nie spodobały się starszyźnie. Na walne zebranie przyjechał gen.

Władysław Anders i podziękowano redakcji. Wtedy założyliśmy własne, od nikogo już nie zależne pismo „Kontynenty". Od początku współpracowali z nami ludzie na całym świecie, w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, w Izraelu. Drukowaliśmy za minimalną cenę, nikt żadnych pieniędzy nie brał, wręcz przeciwnie, składaliśmy się po funcie na miesiąc, żeby zapłacić Bednarczykom za druk. I tak z biuletynu związkowego „Kontynenty" stały się z czasem pismem kulturalnym o ambicjach poetyckich. Współpracownicy zaczęli wydawać debiuty poetyckie i wyszły dwie antologie, jedna na Emigracji, a druga w Polsce. Aczkolwiek „Kontynnety" przestały wychodzić w 1966 roku, przetrwała ich legenda i znalazła oddźwięk na polskich uniwersytetach.

Teraz o „Kontynentach" dużo się mówi w Polsce, a na kilku uniwersytetach studiuje się tę grupę. Ukazało się już drukiem kilka doktoratów na ten temat w Toruniu, Katowicach, Lublinie, Rzeszowie.

JSG: Jednym ze współtworzących „Kontynenty" był m.in. ksiądz profesor Janusz Ihnatowicz, laureat nagrody literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

FŚ: Cieszę się, że On i Jego mądre wiersze zostały w końcu dostrzeżone, gdyż wczesny wyjazd do Ameryki oddalił Go nieco od Londynu, głównego ośrodka emigracyjnych przetargów

literackich. Dobrze też się stało, że zdążono uhonorować ogromnie pracowitego i zasłużonego dla teatru polskiego Bolesława Taborskiego (1927-2010).

JSG: Jak to się stało, że po 25 latach pobytu na Wyspach Brytyjskich przeniósł się Pan też do Londynu nad Tamizą, tylko że w Ontario?

FŚ: W moim życiu doświadczyłem wielu przypadkowości losu, jedną z nich była przeprowadzka z Wielkiej Brytanii do Kanady. Nie była to translacja ani zamierzona, ani nawet wyśniona. Jeden z moich kolegów z London School of Economics po stażu w Kanadzie, doniósł mi, że uniwersytet, który go zatrudnił był zainteresowany zaangażowaniem profesora języka hiszpańskiego, który miał doktorat Uniwersytetu Londyńskiego. Napisałem do kierownika katedry i dostałem zaproszenie na rok w charakterze wizytującego profesora nadzwyczajnego w roku 1969.

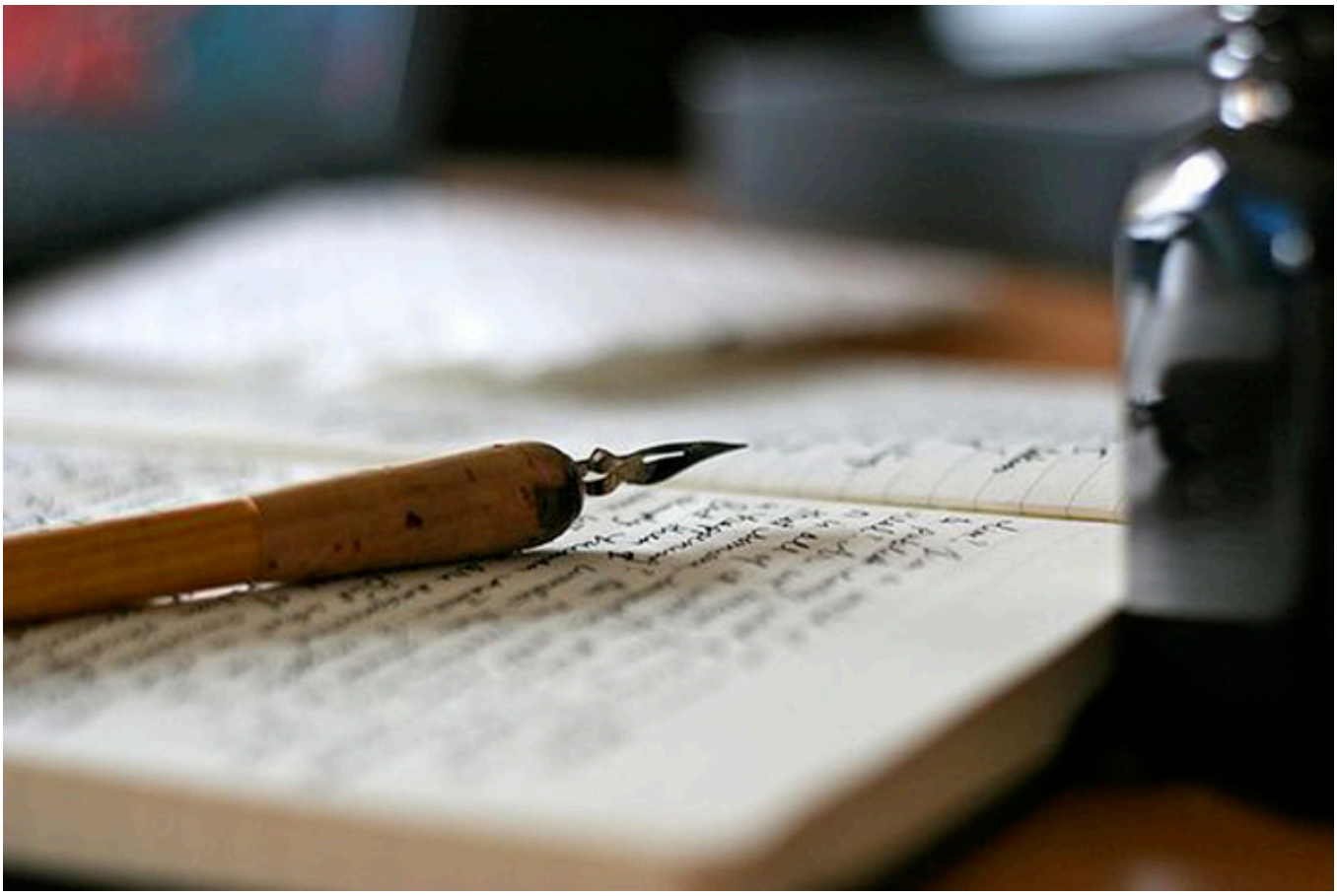
Niewiele wiedziałem o miejscu i uczelni do których się wybierałem. Po przyjeździe okazało się, że trafiłem do ślicznego miasta i renomowanej uczelni. Respektowano tam wiele angielskich tradycji znanych mi z Anglii. Po paru miesiącach zaproponowano mi stałą pracę, którą wykonywałem przez 22 lata do przejścia na emeryturę w 1991 roku.

JSG: Czym różniło się środowisko polonijne na Wyspach po wojnie od środowiska polonijnego w Kanadzie w latach późniejszych.

FŚ: Sądzę, że porównujemy tu sytuacje diametralnie różne. W przeciwieństwie do powojennego „polskiego" Londynu, w którym obserwowało się wysyp twórców, a jakość takich pism jak chociażby miesięcznik „Kultura" po dziś dzień nie została w Polsce osiągnięta, w prowincjonalnej Kanadzie skupisko polonijne, integrujące nowych imigrantów, z trudem próbowało w mało znanym środowisku znaleźć się gospodarczo, zakładało staroświeckie parafie i kontentowało się najprostszymi daniami kulturalnymi.

JSG: Ale po przyjeździe do Ontario, również rozpoczął Pan działalność kulturalną.

FŚ: W Kanadzie już w 1972 roku pomogłem założyć Polski Klub Dyskusyjny, który w prywatnym domu organizował spotkania i kulturalne oferty (mieliśmy m.in. wizyty Stefana Kisielewskiego, Jerzego Turowicza, Jerzego Pietrkiewicza). W lokalnej stacji telewizyjnej emitowałem 150 półgodzinnych programów telewizyjnych „Mosaic London", w lokalnej bibliotece czytałem poezję po polsku i po angielsku.



JSG: Po przejściu na akademicką emeryturę, przyjeżdżał Pan wiele razy do Polski, by uczyć literatury hiszpańskiej młodych Polaków. Mówił Pan kiedyś, że traktuje tę pracę, jak spłacanie długu wobec ojczyzny. Jaki dług miał Pan na myśli?

FŚ: Na obczyźnie zdobyłem kwalifikacje i praktykę pedagogiczną. Wykładałem Anglikom i Kanadyjczykom przez ponad czterdzieści lat. Zapragnąłem się podzielić wiedzą także z Polakami i dlatego poczułem, że lata po przejściu na emeryturę, które spędzam w Polsce, są dla mnie niespodziewanym dobrodziejstwem darowanym przez los. Udało mi się zetknąć z

setkami studentów nie tylko w Krakowie, Wrocławiu, Opolu i Częstochowie, ale także w Ostravie i Wilnie. Jestem po dziś dzień w kontakcie z niektórymi, jedną z byłych studentek z Wrocławia, odwiedziłem w Phoenix w Arizonie, a kariery innych śledzę, z niektórymi komputerowo współpracuję.

JSG: Jaką radę mógłby Pan dać, tym wszystkim młodym ludziom, którzy pragną tworzyć?

FŚ: Jeżeli człowiek nosi w sobie istotne przesłanie, które chce wypowiedzieć i to w sposób niebanalny, pierwszą satysfakcję będzie miał, jeśli mu się to uda. To już jest osiągnięcie, bez względu na to, czy spotka się z przyjęciem czy nie. Ważne jest, żeby być sobą, żeby nie być epigonem niczyjej myśli, nie iść w ślady innych ludzi, podszywać się pod nich, nie bać się jasności. Odpowiedzialność za naszą twórczość gwarantuje jej autentyzm. Nie należy przejmować się modą. Bycie dekonstrukcjonistą czy postmodernistą jest czymś chwilowym i wtórnym. Sukces powinien być niespodzianką, nawet dla autora. Może on oznaczać wiele rzeczy. Także dojrzałość, względnie znalezienie własnego głosu. Młody człowiek winien najpierw poznać siebie i upewnić się, że na prawdę chce i musi pisać, bo jak się nuży i szybko odpada, to znaczy, że się tylko bawił.

JSG: Od wielu lat utrwala Pan historie związane z ludźmi twórczymi, o których powinno się pamiętać. Czym dla Pana

jest bogactwo kontaktów i więzi międzyludzkich?

FŚ: Cieszyłem się zaufaniem i przyjaźnią wielu pięknych ludzi. Nie wszyscy mieli okazję, by obecność swoją zaznaczyć w ludnych i głośnych centrach. W emigracyjnym rozproszeniu ginęły nazwiska twórców, którzy zasługiwali na pamięć. Dlatego jadąc do Kalifornii szukałem Jana Kowalika i Jana Leszczę, do Wenezueli – Przemysława Chróściechowskiego, w Londynie szukałem Olgi Żeromskiej i Wojciecha Gniatczyńskiego, w Hiszpanii odnalazłem Piotra Guzego. Cieszę się też, że Jan Darowski wyszedł z cienia. Chętnie o nich piszę przeświadczony, że robię dobrą robotę. Przekonany jestem, że więzy międzyludzkie są na emigracji konieczne, by przetrwało poczucie podstawowej, podskórnej solidarności. Związek Polaków w Niemczech przed wojną ustanowił własny, szlachetny kodeks postępowania i jedno z jego praw brzmiało „Polak Polakowi bratem". Hasło nadal do zastosowania.

JSG: Stara się Pan, aby obraz przywoływanych postaci, który wyłania się z zakamarków pamięci był jak najbardziej prawdziwy.

FŚ: Nieraz ma się takie wahania, zastanawiamy się, co to jest tzw. prawda. Czy prawdą należy szkodzić człowiekowi, czy lepiej przemilczeć pewne rzeczy. Jeżeli przemilczeć, to czy zaznaczyć, że się czegoś nie dotyka? Myślę, że tu kultura człowieka ma duże

znaczenie. No i wiek. W młodym wieku człowiek wszystkich chce atakować, myśli, że ma do tego prawo, właśnie w imię prawdy. Z wiekiem człowiek pokornieje i rozumie, że trzeba bardziej oględnie pewne sądy ferować.

JSG: Prowadząc aktywne życie zawodowe na polu nauki i kultury, a jednocześnie nie zaniedbując życia rodzinnego, jak udało się Panu znaleźć czas na własną, tak bogatą, nagradzaną twórczość literacką i translatorską?

FŚ: Twórczość jest darem. Mogło jej nie być, mogła być bardziej wybitna, bogatsza. Nie była moją główną aktywnością i nie odbywała się w próżni, ale w życiu dość dramatycznym, na obcych ziemiach, wśród różnych ludzi, w przyswojonych językach. Wybory nie były wolne, przypadkowość wymagała szczęścia. A w czasach spokojniejszych było zbyt wiele pokus, obowiązków, powinności, ciążeń, prób, ciekawości. I one tę twórczość wybierały i kształtowały, ograniczały i wzbogacały. W żadnym momencie nie było dane skupienie się na jednym, by rezultat był godny, miał wagę swoją i rangę, miał ciężar gatunkowy i klasę. Niekiedy musiała wystarczyć powierzchowność, muśnięcie, wspomnienie. Twórczość musiała się zadowolić marginesem, skradzioną chwilą, ułamkiem atencji. Brakowało fachowej krytyki, płynny był konsument, a ja unikałem doktrynerów. Starałem się stronić od wysmażania schematów konstruowanych wedle uczonych recept modnych

alchemików, radowały mnie spontaniczne podszepty rodzimego pióra zdumiewające nieraz piszącego. Te nieliczne bardziej udane teksty sprawiają niespodziankę. Do takich zaliczę przekład „Platero y yo" – „Srebroń i ja" Jimeneza, „Wyrocznię podręczną" Baltasara Graciana oraz „Historię o Abindarraezie i pięknej Haryfie" anonimowego autora. No i tuzin albo dwa wierszy.

Wywiad ukazał się w „Pamiętniku Literackim" w Londynie.

Sebastian Woś – ojciec kolonizacji polskiej w Brazylii



Edmund Sebastian Woś Saporski



Franciszek Sośnik

Urodzony w Siołkowicach Starych Sebastian Woś musiał być człowiekiem odważnym, skoro nie bał się stawić czoła wyzwaniom jakie postawił przed nim los. Urodził się 19 stycznia 1844 roku. Był synem, należącego do najzamożniejszej warstwy rolników, Szymona Wosia i jego żony Jadwigi z domu Kampa. Szkołę podstawową ukończył w swojej miejscowości, a potem uczęszczał do gimnazjum w Opolu. Miał zamiar podjąć studia na Uniwersytecie Wrocławskim, ale groził mu pobór do Wojska Pruskiego, na co nie miał ochoty, więc potajemnie uciekł do Polski i aby zatrzeć za sobą ślady zmienił swoje imię i nazwisko. Od tego czasu „funkcjonował” jako Edmund Saporski. W roku 1867 wyemigrował do Ameryki Południowej. Na początku osiadł

w Urugwaju, w Montevideo. Po roku przeniósł się do Brazylii, gdzie zdobył uprawnienia geometry (mierniczego). Przy okazji poznał jak korzystne są warunki osadnictwa kolonizacyjnego dla przybyszów z Niemiec w stanie Santa Catarina. Pamiętał też jakie ciężkie warunki życia mieli jego rodacy w jego rodzinnych Siołkowicach, szczególnie ci należący do najniższych warstw społecznych, którzy nieraz na przednówku przymierali głodem. Postanowił odmienić ich los sprowadzając ich do Brazylii.

W listach do rodziny i krewnych opisywał możliwości osadnictwa w Brazylii i wspaniałe korzyści z tego płynące, namawiając jednocześnie swoich ziomków do wyjazdu. Jednocześnie listem z 4 kwietnia 1869 roku, wraz z przybyłym spod Lwowa księdzem Antonim Zielińskim zwrócili się z prośbą do cesarza Pedro II o wyrażenie zgody na sprowadzenie kolonistów ze Śląska do stanu Parana. 11 maja Sebastian Woś otrzymał pozytywną odpowiedź. Powiadomił Siołkowian o otrzymaniu zgody na ich przybycie do Brazylii i już tego samego roku wywędrowało do Brazylii pierwszych 13 rodzin. Sprzedali wszystkie swoje niewielkie dobra i zakupili bilety kolejowe prawdopodobnie do Hamburga lub Bremy. Stąd statkiem popłynęli do Brazylii. Rząd brazylijski, który propagował sprowadzanie kolonistów z Europy pokrywał koszty związane z podróżą morską. Dopłynęli do portu Itajai i tu spotkała ich bardzo niemiła niespodzianka: jako koloniści, którzy wywędrowali z Prus zostali przez brazylijskich urzędników skierowani do stanu Santa Catarina, gdzie organizowała się

kolonizacja niemiecka. Tego Siołkowianie nie chcieli, tym bardziej, że w tym stanie panował klimat niemal tropikalny, do którego absolutnie nie byli przystosowani. Osiedleni w kolonii Brusque, którą wcześniej z powodu trudnych warunków opuścili Irlandczycy, przez dwa lata walczyli z dżunglą, aby zdobyć jakiekolwiek środki do przeżycia.



Polscy emigranci, którzy wyemigrowali z Siołkowic do Brazylii w II poł. XIX w., fot. staresiolkowice.pl

Sebastian Woś, który czuł się odpowiedzialny za los tych ludzi udał się wraz z księdzem Zielińskim na spotkanie z cesarzem. Zostali przyjęci i uzyskali zgodę na przesiedlenie rodzin z Siołkowic do stanu Parana, co stało się w 1871 roku. Tego też

roku Siołkowianie założyli pierwszą osadę kolonialną Pilarsinho (po polsku: „Pielgrzymka”). Klimat w Paranie jest łagodniejszy niż w stanie Santa Catarina, gdyż napływ gorącego i wilgotnego powietrza od strony Atlantyku blokują góry Sierra do Mar (Góry Morskie – takie mniej więcej jak nasze Tatry). Od tego czasu kolejne grupy rodzin z Siołkowic i z całej okolicy, wypływały za ocean, by tam budować swoją przyszłość. Pod koniec XIX wieku nastąpiła fala emigracji z terenów Polski, najpierw z Królestwa Kongresowego, potem z Galicji, nowosądecczyzny i innych terenów. Łącznie przybyło ponad pięćdziesiąt tysięcy osób. Nowi koloniści korzystali z pomocy i doświadczeń swych poprzedników ze Śląska, którym dalej pomagał Sebastian Woś i w dowód wdzięczności dla niego sami zaczęli nazywać go: „Ojcem emigracji polskiej do Brazylii”.

Pisarz i oficer legionów Mieczysław Lepecki tak opisuje Wosia-Saporskiego:

> Miał długie wąsy noszone na staropolską, sarmacką modę, ale w sumie był niepozorny. Miał liczne potomstwo z małżeństwa z Brazylijką. Mieszkał w pięknej willi z ogrodem. Pisał swój pamiętnik, który przekazał do archiwum polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Był bardzo uczciwy, bezinteresowny, zawsze gotów do pomocy rodakom i był wielkim polskim patriotą. To prawdziwy ojciec kolonizacji

polskiej w Paranie. Nic dziwnego, ze miał honorowe członkostwo Polskiego Towarzystwa im. Tadeusza Kościuszki w Kurytybie oraz Polskiego Towarzystwa Łączność i Zgoda, których był współzałożycielem. W 1892 roku Saporski założył „Gazetę Polską" w Brazylii. Nie dorobił się żadnego majątku, choć zapewne miał okazję. Żył tylko sprawami polskimi, nie interesowały go pieniądze. Nic dziwnego, że Polonia Parany postawiła mu w 1953 roku, 21 lat po jego śmierci pomnik w Abranches. Jego twórcy napisali na pomniku: „Zorganizował emigrację polską, rozsłaniając jej horyzonty nowej Ojczyzny-Brazylii. Hołd i wdzięczność tym, co poszli jego śladem".



Stare Siołkowice na opolszczyźnie, fot. staresiolkowice.pl

I jeszcze kilka uwag dotyczących Sebastiana Wosia, czyli Edmunda Saporskiego.

– Od 1912 roku jako pierwszy Polak pełnił funkcję posła do parlamentu stanowego.

– W 1924 roku został przez Rząd Polski odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

– Zmarł 6 grudnia 1933 roku i pochowano go na cmentarzu municypalnym w Kurytybie.

– Polska osada Abranches podobnie jak Pilarsinho są dziś dzielnicami stolicy stanu Parana – Kurytyby.

– W Kurytybie jest ulica: „Rua Edmondo Saporski”

– Pisarz Bolesław Mrówczyński opisał dzieje Siołkowian w Brazylii w swojej bardzo ciekawej trylogii. Poszczególne tomy noszą tytuły: „Bitwa o Pilarsinho”, „Osada nad Srebrnym Potokiem” i „Tętniący step”.

– W 1996 roku w Siołkowicach miała miejsce wielka uroczystość związana z obchodami 125 rocznicy osadnictwa w Brazylii. Przybyło ponad 40 gości z Brazylii, potomków emigrantów.

W obecności wicepremiera Mirosława Pietrewicza, Ministra Oświaty prof. Andrzeja Stelmachowskiego, biskupa Jana Kopca, oficjeli z Ambasady Brazylii, przedstawicieli władz wojewódzkich i gminnych oraz wielu mieszkańców Siołkowic odsłonięto okolicznościową tablicę pamiątkową na budynku szkoły.

– Wraz z delegacją brazylijską przybył też do Siołkowic wnuk Sebastiana Wosia, z wykształcenia prawnik, Edmundo Leinig Leinig Saporski. Zabrał ze sobą grudki ziemi z ogrodu przy domu rodzinnym Sebastiana Wosia oraz z cmentarza w Siołkowicach, by posypać nimi w Kurytybie grób swojego wielkiego dziadka.

Ciekawe, czy opuszczając Siołkowice Sebastian Woś zdawał sobie sprawę, jak wiele się za jego przyczyną wydarzy. Wydaje się, że nie, co wcale nie umniejsza jego dokonań. Z pewnością zasłużył na to, by znaleźć się w gronie wielkich i ważnych ludzi jakich wydała nasza ziemia…



Zobacz też:

http://staresiolkowice.pl/emigracja-do-brazylii-z--siolkowic-popielowa/

Nowy poczet władców Polski. Waldemar Świerzy kontra Jan Matejko.



Bolesław Chrobry, autor: Waldemar Świerzy, copyright: Kreacja Pro.



Bolesław Śmiały, autor: Waldemar Świerzy, copyright: Kreacja Pro.



Konrad Mazowiecki, autor: Waldemar Świerzy, copyright: Kreacja Pro.

Jan Cofałka

Waldemar Świerzy (9 IX 1931- 27 XI 2013) był jednym ze współtwórców fenomenu zwanego polską szkołą plakatu, zaś w niej mistrzem portretu. Jego cykl „Wielcy ludzie jazzu", z wizerunkiem Jimi Hendrixa wciąż uważany jest za kultowy i do dziś ozdabia kluby jazzowe w USA. Za plakat filmowy „Czerwona oberża" Claude`a Autanta-Lery`ego otrzymał najbardziej prestiżową nagrodę Grand Prix Toulouse-Lautreca na I Międzynarodowej Wystawie Plakatu Filmowego w Wersalu w 1959 roku. Niezapomniane są jego plakaty cyrkowe i różne wersje plakatu Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze" , którego kolejne wydania osiągnęły milion nakładu.

Ale Waldemar Świerzy należy również do klasyków grafiki książkowej ze słynną okładką „Lolity" Nabokova z kobiecymi

nogami w o wiele za dużych szpilkach, czy zakapturzony mnich na okładce „Imienia róży” Umberto Eco. W swoim 82-letnim życiu zrobił ponad 1500 plakatów i przeszło 500 okładek do książek, a przecież projektował również okładki do płyt, kalendarze i znaczki pocztowe.

Kiedy plakaty polskich artystów zaczął w dużej mierze wypierać w latach 80-tych XX wieku zalew, głównie amerykańskiej pop kultury, i nasi wielcy graficy stracili znaczącą część zamówień, profesora Świerzego zapraszano kilka razy w roku do Las Vegas, aby na miejscu, malował amerykańskich gangsterów, Al Capone i jemu podobnych, bo to Amerykanów interesowało, śmieszyło i dobrze się sprzedawało. Na stare lata – jak to się mówi – czyli po siedemdziesiątce, uczeń profesora Świerzego wybitny grafik Andrzej Pągowski, zdając sobie sprawę z ogromnego potencjału i talentu portretowego swego Mistrza, namówił go do namalowania nowego kompletnego pocztu władców Polski, według dzisiejszego stanu wiedzy historycznej, dostarczanej artyście przez zespół historyków i ekspertów naukowych. Tym bardziej że powszechnie w Polsce znany poczet królów i książąt Jana Matejki był malowany w zupełnie innym czasie i celu.

Matejko malował swój poczet ku „pokrzepieniu serc” Polaków, kiedy Polski nie było na mapie państw świata. Przy okazji idealizował wizerunki władców. Wszyscy byli majestatyczni, bo

ich wizerunki miały ukazywać dawną świetność i chwałę Rzeczpospolitej. Nawet Jadwiga, która została królową licząc sobie jedenaście lat, a jako trzynastoletnią wydano ją za mąż za Władysława Jagiełłę, przedstawiona jest przez Matejkę jako bardzo dostojna matrona, prawie jak Jagienka z sienkiewiczowskich „Krzyżaków”, co to miała siadając rozgniatać orzechy.



Kaziemierz Wielki, autor: Waldemar Świerzy, copyright: Kreacja Pro.



Królowa Jadwiga, autor: Waldemar Świerzy, copyright: Kreacja Pro.



Władysław Jagiełło, autor: Waldemar Świerzy, copyright: Kreacja Pro.

Do tego poczet Jana Matejki jest niekompletny. Artysta pominął siedmiu nie bardzo wygodnych władców, dodał zaś żony Mieszka I i Mieszka II. W sumie poczet ten liczy 44 jednobarwnych, potem pokolorowanych, ołówkowych rysunków namalowanych przez artystę dla podreperowania domowej kasy, na zamówienie

wiedeńskiego wydawcy Maurycego Perlesa. Matejko miał zamiar namalować go następnie olejno, lecz nie wystarczyło mu życia, zmarł 1 listopada 1893 roku.

Natomiast Waldemar Świerzy, namówiony do namalowania nowego pocztu w 120 lat po Matejce, dobrze wiedział, którymi władcami możemy się szczycić za ich waleczność, mądrość i szlachetność, a którzy byli dość nikczemni, tchórzliwi, a nawet szaleni. Wielu było majestatycznych i wytwornych, ale był też karzeł, kaleka i kastrat.

Profesor Świerzy podejmując się wielkiego dla artysty wyzwania postanowił więc namalować psychologiczne portrety, ukazując ich takimi jakimi byli nie tylko jako władcy lecz także jako ludzie. Wyznał iż „Matejkowski poczet tak się przyjął, że dziś nie wyobrażamy sobie innego. A ja postanowiłem go sobie wyobrazić. Chciałem mieć na obrazach prawdziwych ludzi".

To malowanie miało jednak swoją dramaturgię. Matejko swój poczet malował dwa lata (od lutego 1890 – do końca stycznia 1892), natomiast Świerzemu, w związku z perturbacjami ze sponsorami, zajęło 7 lat, zaś od pomysłu Andrzeja Pągowskiego do wystawy na Zamku Królewskim w Warszawie aż 10 lat.



Stefan Batory, autor: Waldemar Świerzy, copyright: Kreacja Pro.



Jan III Sobieski, autor: Waldemar Świerzy, copyright: Kreacja Pro.



Stanisław August Poniatowski, autor: Waldemar Świerzy, copyright: Kreacja Pro.

Początkowo malowanie szło dobrze, po namalowaniu dwudziestu czterech postaci wydano nawet kalendarz ścienny z dwunastoma na 2008 rok. Potem jednak nastąpiła kilkuletnia przerwa w realizowaniu tego wielkiego przedsięwzięcia. Zbliżający się do osiemdziesiątki Waldemar Świerzy zaczął się obawiać, czy danym mu będzie ukończyć rozpoczęte dzieło. W końcu jednak udało się pokonać kłopoty i Profesor mógł kontynuować pracę, lecz wówczas spadł, w czasie przygotowania wystawy swych plakatów w Sopocie, z drabiny i złamał bark. To złamanie mogło oznaczać zakończenie jego artystycznej kariery. Profesor jednak się nie poddał i po kilkumiesięcznej intensywnej rehabilitacji okazało się, że nie tylko powrócił do dawnej formy ale też – jak stwierdzili znawcy – kolejne portrety, poczynając od królowej Jadwigi, były jeszcze lepsze. Malował je szybciej, odważniej i z zwiększą pasją. Gdy pozostali do namalowania już tylko dwaj

ostatni władcy dopadła Profesora nieuleczalna choroba i miał udać się do szpitala. Ale jak przystało na solidnego człowieka, zdołał przed tym dokończyć dzieło życia i dopiero potem zgłosił się do szpitala, w którym zmarł w kilka dni później 27 listopada 2013 r., już po namalowaniu ostatniego 49 władcy Polski króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.



Prof. Waldemar Świerzy

W dniu 18 maja 2015, już po śmierci Waldemara Świerzego, na Zamku Królewskim w Warszawie doszło do wernisażu wspaniale

przygotowanej wystawy, której towarzyszył pięknie wydany album ***Nowy poczet władców Polski . Waldemar Świerzy kontra Jan Matejko***. Wystawy na której obok siebie zaprezentowano oba poczty z odpowiednimi opisami.

Mamy więc teraz w Polsce dwa poczty władców, niekompletny 44 osobowy „krzepiący serca" Polaków – Jana Matejki i kompletny z psychologicznymi, opartymi na współczesnej wiedzy historycznej 49 portretami władców – Waldemara Świerzego.

Po Warszawie wystawa trafiła do Wrocławia. Miłośnicy historii i portretu będą ją mogli zobaczyć do 25 lutego 2018 r.

Wrocław, Muzeum Miejskie, Pałac Królewski, od 8 sierpnia 2017 r. do 25 lutego 2018 r.

Mecenasem Kolekcji jest PKO Bank Polski.

Za udostępnienie fotografii wizerunków władców Polski autorstwa Waldemara Świerzego dziękujemy Kreacji Pro (www.kreacjapro.eu).

Redakcja

Wacław Liebert – literat i ekonomista



Florian Śmieja

Urodzony 23 IV 1902 r. w Moskwie, był synem inżyniera, społecznika i organizatora szkolnictwa polskiego dla

uciekinierów czasu pierwszej wojny światowej i rewolucji bolszewickiej, odznaczonego za swoje zasługi pośmiertnie krzyżem Polonia Restituta. W Moskwie spędził dzieciństwo i młode lata. Do Polski repatriował się mając lat osiemnaście. W Warszawie ukończył ekonomię na WSH. Pracował najpierw w zarządzie, a potem jako naczelny dyrektor założonej przez ojca fabryki wodomierzy i gazomierzy w Toruniu.

Kiedy Niemcy przejęli fabrykę, Liebert przeniósł się do Kielc, gdzie wraz z żoną, Wandą, należał do podziemia aż do końca wojny. W 1945 r. na wniosek robotników wrócił do swojej, upaństwowionej już, fabryki na kierownicze stanowisko, ale prześladowany przez SB uszedł z rodziną w 1947 do Szwecji, gdzie m.in. pracował jako robotnik w fabryce tekstylnej. W 1951 r. przyjechał do Kanady, do Montrealu, a następnie do podtorontońskiego Bramalea. Do wieku emerytalnego pracował jako projektant.

Zmarł na raka, znoszonego przez lata z pogodą, 27 lipca 1993 roku. Pogrzeb odbył się w Mississaudze, ale prochy spoczęły w rodzinnym grobie w Warszawie.

W ankiecie wypełnionej niedługo przed śmiercią Liebert nazwał siebie ekonomistą i literatem. Po licznych artykułach politycznych na temat życia pod reżimem komunistycznym, drukowanych głównie w detroickim „Dzienniku Polskim”, na

tychże łamach zadebiutował powieścią „Piraci w bzach” oraz drukował opowiadania, których miał się stać mistrzem. Na konkursie Związku Aktorów Scen Polskich w Londynie w 1950 r. dramatem „Szkarłatna suknia” zdobył wyróżnienie. Był współpracownikiem londyńskich „Wiadomości”, a pod koniec życia związał się z torontońskim tygodnikiem „Echo”.

W Montrealu i Sydney grano jego sztukę „Tysiąc gorejących”. Jest ponadto autorem komedii „Coca Cola”. Większy rozgłos przyniósł mu dopiero tom wspomnień z Rosji „Wrony nad Moskwą”, wydany w 1974 r. przez londyński Polski Fundusz Kulturalny. Znajdziemy w nim plastyczne przedstawienie losów Polaków na tle ginącej Rosji carskiej i rodzącego się komunizmu. Z kolei napisał powieść „Ewidencja W.16” (Londyn 1981). Jest to rzecz o Chorwacie, nazwiskiem Hans Wittek, który stał na usługach gestapo i dał się we znaki polskim patriotom na Kielecczyźnie. Fragmenty karty ewidencyjnej protagonisty poprzedzają poszczególne rozdziały książki, które te dane rozszerzają i uzupełniają przytaczając dodatkową ewidencję wzbogaconą intuicją i fantazją autora respektującego ściśle wydarzenia okupacyjne z zachowaniem autentycznych nazwisk i sylwetek gestapowców, ich konfidentów oraz pseudonimów członków podziemia. Książka posiada sensacyjną fabułę, co sprawiło, że przedrukowana w Polsce przez wydawnictwo Volumen stała się bestsellerem.

Tom opowiadań „O miłości i tak dalej” (1982) został wyróżniony przez Ontario Arts Council. Wacław Iwaniuk z tej okazji nazwał autora „narratorem z Bożej łaski” podnosząc rozległość tematyki, jakość techniki pisarskiej oraz artystyczne osiągnięcia. Wyróżnił on szczególnie opowiadania z terenu Kanady jak „Bretnal” oraz „Złote runo”, świetnie podpatrzone przejawy kompleksu roszczeniowego rodaków przyjeżdżających z PRL-u. Jego bohater, Duduś, jest przykładem człowieka zdemoralizowanego przez system komunistyczny, którego nie zmieni fakt przeniesienia się w inne miejsce. Liebert nazwał takich osobników „mormonami”, czyli łapigroszami, od angielskiego *more money.*

Tom lekkiej, dowcipnej prozy zatytułowany „Byłe i niebyłe”, wydany nakładem tygodnika „Echo” (1990), cechuje również rozpiętość tematyczna: od obrazu ostatnich dni Stanisława Augusta w Grodnie, po historię przyjezdnej Polki wydającej się za majętnego emigranta, aby uśmiercić go poszatkowanymi włosami z własnego warkocza dodawanymi do jedzenia. Liebert pisał do końca życia meldując pracę nad sztuką (humorystycznym opowiadaniem) „Ogród szczęśliwości”. Zdołał ją ukończyć, mimo że praca szła mu opornie. Skarżył się na wzrok, a także na

> świadomość idealnej obojętności naszego społeczeństwa na

> wszystko, co nie jest produktem ich subkultury. A ta wydaje mi się obca i niezrozumiała. Czasem podejrzewam, że w ogóle jej braknie.

Rodzina była jego mocnym atutem. W żonie miał znakomitą towarzyszkę przygody literackiej, bo ona była jego najbliższą współpracowniczką, czytelniczką i korektorką.

Liebert, ekonomista, był przykładem profesjonalisty, który na innym polu, w tym wypadku literatury, ma równie solidne osiągnięcia. Jego sztuki, powieści i opowiadania ukazują inwencję, łatwość operowania wymyślnymi wątkami, bogaty kalejdoskop kobiecych postaci, humor i doskonały język. Był urodzonym karykaturzystą. Wyznał kiedyś, że patrząc na ludzi przerysowuje ich „podkreślając śmieszności, ułomności czy głupotę, niezależnie z jakiej pochodzą sfery czy klasy społecznej". Tematyką swoją (nie licząc wycieczek w epokę jaskiniową czy czasy starożytnej Grecji) objął, posługując się wspomnieniami, obserwacją, a nawet pilnymi studiami obok śmiałych wzlotów fantazji, szmat ziemi na dwu kontynentach, od rewolucyjnej Rosji, okupowanej Polski, krajów europejskich po Kanadę. Dał świadectwo nie tylko temu, co zaszło dawno i wczoraj, ale co się dzieje dzisiaj, rejestrując zmieniające się stosunki i style życia na emigracji na styku emigracji wojennej i nowej, ekonomicznej.

Jak większość pisarzy emigracyjnych, niedoceniony i nieznany, znalazł przecież czytelnika i krytyka w Polsce, gdzie zainteresowano się jego teatrem, a oprócz „Wron nad Moskwą” na półkach księgarskich znalazła się „Ewidencja W.16”. Wiadomości te radowały autora. Nie doczekał się wprawdzie wydania tam swoich opowiadań, ale pewien jestem, że to nastąpi w przyszłości. Liebert czas swój na obczyźnie rzetelnie okupił.

Ojczyzna

Ojczyzna jest to wielki – zbiorowy – Obowiązek (C.K. Norwid).

155 rocznica wybuchu Powstania Styczniowego



Jacek Malczewski, Ojczyzna,Tryptyk (Prawo, Ojczyzna, Sztuka), 1903 r., olej, deska, 69,5 × 98 cm, Muzeum Narodowe we Wrocławiu.

Zdzisław Najder

W *Iliadzie* mało słyszymy o ojczyźnie. Nic dziwnego: Grecy jako najeźdźcy walczą tu na obcej ziemi, pod Troją. Homer opowiada tylko, że tęsknią za ziemią ojczystą, podobnie jak potem Odys, kiedy tuła się po Morzu Śródziemnym i marzy o ukochanej wyspie. *Odyseja* mówi o pragnieniu tytułowego bohatera, by „zobaczyć bodaj dym wznoszący się" z Itaki, nad którą nie ma dla niego „nic bardziej słodkiego".

Starożytni Grecy byli ludem wędrownym. Łatwo i jakby

bezboleśnie emigrowali. Osiedlali się masowo z dala od Hellady: na Sycylii, w dzisiejszej Turcji, w dzisiejszym Egipcie. Łączył ich wspólny język. Motyw głębokiej miłości dla rodzinnego kraju występuje w antycznej literaturze greckiej z wielką i pamiętną mocą. Zazwyczaj jest to po prostu dobrze znany i kochany kawałek ziemi, gdzie się wyrosło; to, co dzisiaj nazywamy „bliską ojczyzną", a Niemcy słowem *Heimat*. To oczywiste, że należało jej bronić przed napastnikami. Jakieś sto lat po Homerze poeta Kallinos napisał:

> Rzecz to bowiem chwalebna dla męża i świetna zarazem
>
> Walczyć z wrogiem w obronie ojczyzny, dzieci i żony swej własnej.

Najbardziej znane były w późniejszych wiekach patriotyczne utwory Tyrtajosa czyli Tyrteusza (VII wiek przed Chr.):

> Rzecz to piękna zaprawdę, gdy krocząc w pierwszym szeregu,
>
> Ginie człowiek odważny, walcząc w obronie ojczyzny.
>
> Walczmy mężnie w obronie tej naszej ziemi i dzieci.

> Choćbyśmy zginąć musieli, życia naszego nie szczędźmy.
>
> Kiedy zaś padnie w szeregu i ducha miłego wyzionie,
>
> Miasto chwałą okryje, ojca, a także i ród swój.

Podobne myśli i obrazy są nam znajome. Ale dla nas „ojczyzna” to coś więcej, niż tylko odziedziczony po przodkach grunt, rodzinna okolica i krewni. To również tradycja upamiętniona w słowach i budynkach, zbiorowa pamięć, obyczaje, symbole, prawa, ubiory, instytucje. Takie szersze i głębsze pojęcie „ojczyzny” jako wspólnej idei zaczyna się kształtować w Atenach, w złotym wieku (V przed Chrystusem) kultury tego miasta-państwa. Sławne przemówienie Peryklesa na pogrzebie poległych w I roku wojny peloponeskiej jest zarazem pochwałą wolności i praworządnego państwa:

> Grobem sławnych mężów jest cała ziemia, sławę ich głoszą nie tylko napisy na nagrobkach w ich ojczystym kraju, lecz nawet na obczyźnie żyje o nich pamięć, spisana nie na pomniku, lecz w duszach ludzkich.

Siedemset lat potem (II wiek) Lukian z Samosaty (dziś Samsat w Turcji, nad brzegiem Eufratu) podsumował starogreckie poglądy na ojczyznę:

> „Nie ma nic słodszego od własnej ojczyzny”, głosi od dawna utarte zdanie. … Ojczyzna jest przyczyną i mistrzynią tego wszystkiego, co ludzie uważają za dostojne i boskie, ona, która zrodziła, wyżywiła i wychowała. …Ojczyzna uchodzi u wszystkich ludów za rzecz tak cenną, że wszędzie w świecie prawodawcy za największe przestępstwo wyznaczają wygnanie jako karę najcięższą. …Zachętą najskuteczniejszą dla oddziałów bojowych jest przypomnienie, że wojna toczy się w obronie ojczyzny. Nie ma człowieka, który słysząc te słowa chciałby się spodlić. Nawet z tchórza czyni bohatera hasło: ojczyzna.

Tę samą myśl znajdujemy w sławnym zdaniu Norwida z roku 1850: „Ojczyzna jest to wielki – zbiorowy – Obowiązek”. W polskiej tradycji narodowej zdaje się ona oczywista. Powinniśmy sobie jednak uświadamiać, że nie jest to taka sama oczywistość, jak twierdzenie, że lipiec jest cieplejszy od stycznia. To, czy uważamy ojczyznę za źródło obowiązku – zależy od naszej decyzji. I musimy wiedzieć, że bardzo wielu innych ludzi, zwłaszcza poza Europą, która jest ojczyzną ojczyzn, wcale w tych kategoriach nie myśli.

Śląskie emigracje i powroty



Kazimierz Kutz, fot. Bartłomiej Barczyk, za biografia24.pl.

Marek Baster: Co mówiła matka, kiedy wyjeżdżał Pan ze Śląska w wielki świat?

Kazimierz Kutz: „Pamiętaj, mój mały, z czepkiem w dłoni przejdziesz przez świat cały”…

MB: To znaczy: bądź skromny i układny, tak?

KK: Nie narażaj się. Zdejmuj czepek przed kimś, kto na to zasługuje. Nie szalej, nie buntuj się. To było przesłanie, które wynikało z wielopokoleniowego doświadczenia robotniczej sfery na Śląsku, gdzie strajki i powstania uczyły, że jak człowiek chce coś zmienić, to się naraża. Więc nie buntuj się. Mimo klęsk i sukcesów, żyj przyzwoicie – w gruncie rzeczy w zgodzie z Dekalogiem, z którym Ślązacy byli prawie na „ty”. Rób swoje i nie daj się zniszczyć – taka była filozofia mojej matki, która się bała o dziecko, które wybiera niebezpieczną ścieżkę, z dala od swoich.

MB: I co Pan zrobił z tym przykazaniem?

KK: Ja je wciąż słyszę. Bo można o mnie różne rzeczy mówić, ale w istocie pozostaję w środku skromnym człowiekiem. Między innymi dlatego, że nie myślę kategoriami biznesu czy kariery, tylko staram się robić swoje. Właśnie: z czepkiem przez ten świat przejść.

MB: No, to się sprawdziło.

KK: Wie pan, pewnie nie wszystko. Moja matka do końca życia nieludzko się o mnie bała. Że pyskuję, narażam się, że mnie napadają. Była przerażona, czytając z przejęciem o różnych moich wybrykach, ale z drugiej strony była szczęśliwa, że do czegoś dotarłem i że jestem kimś. I tylko drżała, żebym nie został przemielony. Ale wiedziała, że wszystko to jest efektem wolności, którą sama we mnie rozbudziła. Więc miała poczucie winy i satysfakcji jednocześnie. Jak się dowiadywała o jakichś moich przejściach, od razu sobie tłumaczyła, że za tę moją rogowatość będę odsuwany i biedny, że sobie nie dam rady w życiu, choć się jej do tego nie przyznam. W pewnym momencie, to było jakoś w stanie wojennym, przysłała mi swoją rentę. Bez słowa. Ja bez słowa jej te pieniądze odesłałem. I ona się na mnie bardzo obraziła.

MB: Wychowanie w wolności – to nie była wtedy zwykła na Śląsku postawa.

KK: Moja matka była genialna. Tutaj tak się chowało dzieci, żeby się kamuflowały, nie zdradzały. Pracuj i siedź cicho, bo jak nie, to będziesz miał problemy. A ona nas wszystkich wychowała w fantastycznej wolności, w której mogliśmy ujawniać charaktery, również z wszystkimi wadami. Wychowała nas po prostu na inteligentów. Ludzi, jak mówiła, okrzesanych. Czyli po dzisiejszemu – wykształconych, którzy nie godzą się na bycie robolem, buntują się.

MB: Więc jednak bunt.

KK: Przeciwko śląskim ograniczeniom, które zakreślały świat naszych rodziców. Ja z grupą kolegów spędziłem okupację na samokształceniu. Dzieci powstańców, pierwsze pokolenie Ślązaków, które chodziło do polskiej szkoły – poszliśmy w konspirację kulturalną. Bardzo nie polską przecież, chociaż patriotyczną, bośmy byli przekonani, że ta Polska jednak będzie. Dlatego niewiarygodnie pracowaliśmy nad sobą. I nie Sienkiewicza czytywaliśmy, a Goethego i Woltera. A jak się wojna skończyła, byliśmy już inni od rodziców. Jeszcze strzelali, a myśmy lecieli zapisywać się do gimnazjum, do harcerstwa, do sportu. Wiedzieliśmy, że Polska potrzebować będzie mądrych ludzi. Ja miałem w głowie tyle książek, że nauczyciele dziwili się, skąd ten gówniarz tyle może wiedzieć. I bardzo dobrze kombinowaliśmy – powiem, że bardzo po śląsku, bo praktycznie.

MB: Ale zawód to Pan sobie wybrał mało „praktyczny".

KK: Wie pan, ja idąc do szkoły filmowej nie wiedziałem, kim jestem ani jakie są moje możliwości. To była bardziej intuicja, bo przecież ta szkoła dopiero co powstała. Pewnie też miałem lęk przed uniwersytetem, bo chociaż mówiłem świetnie po polsku, kultura polska mnie onieśmielała. Jednak człowiek pochodzący ze Śląska, obracający się wśród ludzi niewykształconych, nie czuł tego dziedzictwa na sobie. Z mojej grupki jeden poszedł na

medycynę, inny na ASP. Część pouciekała przed ruskimi, bo się strasznie bali, że jeden koszmar się skończył, to teraz przyjdzie Azja. A pokolenie, które przeżyło Wehrmacht, wróciło jako kompletne wraki. Ci ludzie już nigdy nie stanęli na poziomie swoich możliwości, choć byli szczęśliwi, że w ogóle do swojego gniazda wrócili. My, którzyśmy wojnę przeżyli na nauce, z tego gniazda wyfrunęliśmy.

MB: Ku karierze.

KK: Mnie by do głowy nie przyszło, że idę robić jakąkolwiek karierę. W ogóle. Ja chciałem być człowiekiem sztuki, chciałem być pożyteczny społeczeństwu. Chciałem służyć.

MB: Serio?

KK: Tak. Wtedy nie brało się w rachubę pieniędzy. Jeśli już, to człowiek myślał o prestiżu społecznym, że jak coś zrobi dla ludzi, to go będą szanować. To jest, sądzę, efekt myślenia jeszcze XIX-wiecznego, bo całe moje pokolenie było wychowane na tamtej kulturze, ze swej natury prospołecznej, organicznej. Zwłaszcza w moim przypadku, kiedy myśmy zawsze żyli w biedzie, ojciec i dziadkowie sprzedawali swoje ręce pracy. Dlatego w głowie miałem nie interes, a zapłatę za pracę. Ja to mam do dzisiaj, ja nie wiem, jak się zarabia duże pieniądze. Rozmawiam z kolegą reżyserem, który pracuje w reklamie, a on mi mówi, że za jeden

dzień pracy w reklamie można dziś zarobić do 20 tysięcy. Taka reklama powstaje, powiedzmy, w pięć dni. To ja bym musiał w ciągu roku z pięć spektakli zrobić, i to w bardzo bogatym teatrze.

MB: Ale wtedy odnalazł się Pan w tym świecie, cudowne dziecko polskiego filmu, jak ryba w wodzie.

KK: Mnie wyjątkowo łatwo wszystko poszło. Oczywiście źle się ubierałem, byłem biedny, ale już na drugim roku zostałem asystentem dwóch katedr w szkole filmowej. Bo miałem przydatny w zawodzie instynkt wodzowski, no i tę ogromną ilość przeczytanych książek w sobie. A człowiek się jednak bierze z książek, prawda? Więc praktycznie nie chodziłem na wykłady, za to sam dostawałem pensję asystencką, która wystarczyła na codzienne utrzymanie ze stołówką, i zostawało 30 złotych. Potem, jeszcze na studiach, wchłonęła mnie produkcja – Wajda zaprosił mnie do „Kanału", jako jedynego z młodszego rocznika. Ponieważ okazało się, że jestem bardzo dobrym asystentem, mając tę swoją porządność śląską, zajął się mną Kawalerowicz. I kiedy organizowały się zespoły filmowe, byłem pierwszym człowiekiem, który zapracował na samodzielny debiut. Nie miałem wtedy jeszcze 30-tu lat. Film, który zrobiłem, „Krzyż Walecznych", uznano w tamtym roku za najlepszy w Polsce. A konkurencja była już bardzo silna.

MB: I jeszcze parę lat, a rzuci Pan wszystko w diabły i

wsiądzie w pociąg do Katowic.

KK: Aż za dobrze mi wszystko szło. Myślałem, że jak mi się wszystko udaje, to nic mi nie grozi. Wystąpiłem z buntowniczym filmem „Nikt nie woła”. To był skandal zaprogramowany: patrzcie, wszystko, co robiliście, jest do niczego, ja wam pokażę, jak się filmy robi!

MB: Myślał pan już o powrocie na Śląsk?

KK: W tym czasie w ogóle o Śląsku nie myślałem. Śląsk się wydawał rzeczą nie nadającą się do kina. Byłem wobec Śląska bezradny. I w jakiś sposób go nienawidziłem.

MB: Jak?

KK: Jak tu przyjeżdżałem, to wszystko było takie samo. Nie wiedziałem, jak się do tego wszystkiego zabrać. Wie pan, Śląsk jest jednak pusty, nie ma się na czym oprzeć. Polskie kino było oparte na literaturze, na konsumpcji tekstów. Było co konsumować. Na Śląsku nie było nic.

MB: Ale w 1967 wrócił Pan.

KK: Stwierdziłem, że jałowieję, że się rozpływam w *dolce vita*. Żyłem w elicie warszawskiej pomiędzy pisarzami, ponieważ mnie

filmowcy nie interesowali. Miałem słabość do kobietek. To był też okres wielkiego romansu z alkoholem. Wie pan, życie było tanie. Wódka była tania, a pozycja reżysera luksusowa. Dziś to śmieszne pieniądze, ale zarabiało się wtedy relatywnie dużo – przeliczając na pół litra, to było w ogóle nie do wypicia.

Już mi czterdziecha dochodziła i doszedłem do wniosku, że czas spoważnieć. Powiedziałem sobie – ja, *wunderkind*, który uciekł ze Śląska – że trzeba wrócić pokornie i próbować się zmierzyć z tym molochem. Że to moja szansa i obowiązek. Muszę zrobić film o Śląsku. Ale żeby to zrobić, trzeba się było zastanowić, co to jest Śląsk.

MB: A co to jest: Śląsk?

KK: To jest sierota, bez ojca i matki. Ma tylko siebie. Nie mieścił się ani w Polsce, ani w Niemczech. Okropna ziemia. Cały czas wykorzystywana, okradana, napadana, raz polska, raz niemiecka – no, kocioł potworny! Jakby jakieś przekleństwo wisiało nad tą ziemią. I kiedy sobie ten mój Śląsk nazwałem, pojawił się szacunek do tego, co tutaj jest. I rodzaj miłości do tego, co odmienne. A dla sztuki odmienność oznacza szansę pokazania oryginalności. Dlatego „Sól ziemi czarnej" dotyczy kluczowej sytuacji, kiedy po wiekach nastąpiło rozdarcie Śląska na Polskę i Niemcy. Powstał ten przeklęty kocioł, którego Ślązacy wcale nie chcieli, bo oni zawsze byli pomiędzy, a właściwie – zawsze na

dole. Żeby to wyartykułować, musiałem znaleźć poetykę podnoszącą „regionalne” do „ogólnopolskiego”. Odrzucić wszystko, co człowiek czytał i zrobił, całą tę Polskę szlachecką, i po prostu zrobić coś z własnego nasłuchu. Wymyślić formę.

A jak już byłem gotowy – ta wielka potrzeba powiedzenia: patrzcie, to jest takie! To jest wielkie! I to jest moje! Ci wszyscy fantastyczni ludzie są stąd, tylko wy o tym nie wiedzieliście! Do dziś ludzie mówią mi, że nie znają takiego natężenia miłości do ojczyzny jak w moich śląskich filmach. Faktycznie, te filmy są wielkim krzykiem dziecka porzuconego przez matkę.

MB: A potem Śląsk Pana odrzucił.

KK: Idąc za ciosem, chciałem tu założyć zespół. Po to, żeby na jego podstawie mogło powstać regionalne centrum filmowe. Te moje filmy były dobrą do tego przygrywką. To był jedyny zespół, który był poza Warszawą. Pomysł był taki, żeby zaprosić filmowców, reżyserów, scenografów, stworzyć im tu miejsce, które wykorzysta ich talenty i na bazie Śląska realizować programy w kinie i w telewizji regionalnej. Ekipa Gierka była przy władzy, sekretarzem do spraw ideologii był ten… jak on się nazywał… Szydlok. Pojechałem do niego z projektem takiej małej wytwórni filmowej. I mówię: proszę pana, macie władzę, zróbcie coś, chodzi o odrabianie niedoborów kultury górnośląskiej, to nie może być cały czas kolonia!

No i nic. Nie byłem Zagłębiakiem, nie byłem członkiem partii. A jednocześnie mówiłem cały czas to, co myślę, bez „ogródek". Zostałem więc wrogiem publicznym. Nie tylko perspektywy filmowe, ale i moja egzystencja osobista się kompletnie skończyła. Tu nie było możliwości pracy.

MB: No i znowu Pan wyjechał. Albo uciekł, jak Pan woli.

KK: Jako człowiek zdrowy, uciekłem ze strefy zakażonej. Żeby móc w ogóle pracować. Zachowałem się jak zdrowy szczur, prawda?

MB: Nie szkodzi, dzisiaj też wszyscy stąd wyjeżdżają...

KK: Bo tam są pieniądze i decydenci.

MB: Ale żeby zrobić film o Śląsku, na przykład „Serce z węgla", to przyjeżdżają inni.

KK: Dlatego, że, jak to się mówi, mieli dojście na Woronicza. A tutaj jest pełny analfabetyzm i ubezwłasnowolnienie. Szkoda, bo Śląsk naprawdę ma pokrycie, żeby być źródłem sztuki. Są młodzi reżyserzy, jest szkoła filmowa, wydziały teoretyczne – wszystko, żeby ujawniać potencjał odmienności Śląska.

MB: W „Soli ziemi czarnej" pyta Gabriel, czemu nam

Polska nie pomogła, a Erwin odpowiada: „Może nas mo kajś". A dziś?

KK: Dzisiaj jest coś gorszego: nieżyczliwa obojętność dla Śląska. Przeciwko temu trzeba się buntować. Moje filmy takie były. O powstaniu, o strajku, o Habryce, który walczy o swoje. Myślę, że w jakimś sensie Śląsk jest ostatnim regionem w Polsce, w którym cała nadzieja w związkach zawodowych.

MB: Socjalista z Pana.

KK: Ja jestem liberałem, ze zdecydowanym skrętem w lewo. Nie bez powodu lewica – ta bardziej okrzesana – daje mi nagrody… *(śmiech)* I to nie ma nic wspólnego z rewolucjonizmem radzieckim. To jest bardzo europejskie. Moi rodzice byli PPS-owsami. Matka była radną miejską, pyskowała, więc się jej wszyscy bali. I ja od moich dzieci chciałbym tego samego, żeby się buntowały w słusznych sprawach. Bo to jest prawdziwe szczęście, żeby się buntować i żeby był z tego jakiś pożytek. Bo cały czas trzeba się buntować, także wobec siebie.

MB: Matka byłaby z Pana zadowolona?

Jak ją ostatni raz widziałem, właściwie żegnałem się z nią, ponieważ ona wiedziała, że odchodzi, pocałowała mnie w rękę i podziękowała, że się na mnie nie zawiodła. A na koniec

powiedziała: Nie musisz się o mnie martwić, bo na trumnę mam odłożone.

Rozmowa odbyła się w 2003 r.

Kazimierz Julian Kutz *– urodził się w 1929 roku w Szopienicach, reżyser teatralny oraz filmowy, poseł VI kadencji. Jego rodzicami byli Franciszek Kuc, który był kolejarzem, oraz Anastazja Kamińska. W młodości Kazimierz Kutz należał do Związku Harcerstwa Polskiego oraz do Czerwonego Harcerstwa Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego. Ukończył Państwową Wyższą Szkołę Filmową, Telewizyjną i Teatralną. Po jej ukończeniu pracował jako asystent Andrzeja Wajdy. „Krzyż walecznych" był samodzielnym debiutem Kazimierza Kutza. Popularność przyniosły mu filmy "Sól ziemi czarnej" i "Perła w koronie", oba opowiadały o Śląsku. Od lat 70. inwigilowany, internowany w czasie stanu wojennego. W związku z krwawymi zdarzeniami jakie miały miejsce w kopalni „Wujek" zrezygnował z piastowanego stanowiska głównego reżysera regionalnego ośrodka telewizyjnego w Katowicach. Wielokrotnie wybierany do Senatu, poseł IV kadencji. Mimo że w wyborach do obu izb parlamentu startował z określonych partii politycznych, nigdy nie był członkiem żadnej z nich. (biografia24.pl).*

***Marek Baster**, dziennikarz, redaktor miesięcznika „Śląsk”, współpracownik m. in. „Gazety Wyborczej”, „Rzeczpospolitej” i „Polityki”, pracownik Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Przeprowadził wiele świetnych wywiadów. Jego rozmówcy, wybitni artyści, naukowcy, politycy zwierzali mu się z rzeczy i spraw, których nikomu innemu by nie powiedzieli.*

Zginął tragicznie w wypadku samochodowym 7 kwietnia 2004 r.